

KIJ W MROWISKU - PROGRAM 50+

Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa zakłada wydanie w latach 2014-2020 miliarda złotych na promocję literatury. Po pierwszym roku działania programu odsetek osób, które w ciągu dwunastu miesięcy nie przeczytały żadnej książki, wzrósł z 58,3% do 63,1% (dane z cyklicznych badań zleczanych przez Bibliotekę Narodową). Coś nie działa czy na efekty programu trzeba jeszcze poczekać?

Założenia - jak w każdym wprowadzanym programie - były szczytne i szlachetne: zakup książek do bibliotek, poprawa infrastruktury bibliotecznej, dofinansowanie wydawania wartościowych pozycji i finansowanie działania Dyskusyjnych Klubów Książki, zakup i uwolnienie praw autorskich do dzieł udostępnianych w Internecie, edukacja, wydawanie czasopism literackich, organizowanie spotkań i festiwali. Problem w tym, że te wszystkie działania kierowane są do ludzi, którzy już czytają. W efekcie nakłady książek rosną, ale czyta coraz mniej osób. Po prostu niektórzy czytają coraz więcej, a inni wcale. To coś jak średnia krajowa płaca, która już przekroczyła 4 tysiące.

W praktyce, którą trochę poznałem od kuchni, wygląda to mniej więcej tak: w każdym prawie mieście i miasteczku organizowany jest na przykład Turniej Jednego Wiersza imienia ważnej postaci. Jakies tam pieniądze zarabiają jurorzy, wokaliści umilający oczekiwanie na werdykt i wyspecjalizowani w wygrywaniu konkursów autorzy. Po latach wydawany jest almanach i niewątpliwie jakiś pożytek z tego wszystkiego jest - konfrontacja swojej twórczości z twórczością innych, integracja środowiska itd. Nie zwiększa to jednak liczby czytających, gdyż nieczytający na takie imprezy nie trafiają. Podobnie z festiwalami czy spotkaniami autorskimi - szansa, że przyjdzie na nie ktoś przypadkowy, jest niewielka. Wszystko dusi się we własnym sosie: prowadzący spotkanie w mieście A jest za jakiś czas gościem w mieście B i na odwrót. Nie twierdzę, że szkoda na to pieniędzy - twierdzę, że jest to kiepska metoda zwiększenia liczby czytających.

Czy mam lepszy pomysł? Sukcesy programu 500+ natchnęły mnie ideą 50+, czyli płacenia ludziom 50 złotych za przeczytanie książki. Jeżeli zgadzamy się, że czytanie jest z jakichś względów pożyteczne i biadolimy nad upadkiem czytelnictwa, jeżeli przeraża nas te 63%, które nie czyta w ogóle, to zrobmy wreszcie coś realnego dla poprawy sytuacji. Niestety do wielu ludzi najłatwiej dociera argument finansowy.

Jak to sobie wyobrażam w praktyce? Ministerstwo Kultury zamawia w 10 wydawnictwach milion egzemplarzy ciekawych powieści w kieszonkowych wydaniach. Każdy chętny do wzięcia udziału w programie rejestruje się na odpowiedniej stronie i dostaje książkę. Ma dwa tygodnie na przeczytanie, po czym musi odpowiedzieć na kilka pytań sprawdzających. Taki egzamin trwa 10 minut i w razie pomyślnego zaliczenia - uczestnik dostaje 50 złotych. Każdy może tylko raz w danym roku wziąć udział w programie (nie chodzi nam o wychowanie zawodowych czytaczy). Egzaminatorami są młodzi ludzie, np. studenci kierunków humanistycznych, którzy dostają 10 złotych za przeegzaminowanie jednego uczestnika.

Koszty? Milion książek po 10 złotych (cena przy takich nakładach jak najbardziej realna), milion rozmów i milion wypłaconych premii - w sumie 70 000 000. Organizacją mogłyby się zająć biblioteki i domy kultury. Oczywiście trzeba doliczyć jakieś koszty administracyjne, jakąś reklamę i premię dla autora pomysłu. Niech będzie, że program kosztowałby 100 milionów rocznie - to i tak sporo mniej niż obecne działania. A pozytywne skutki wydają się oczywiste - zwiększenie liczby czytających (może choć niektórym by się spodobało i czytali by dalej), budowanie wspólnoty przez czytanie tych samych książek (problem, kto by je wybrał, da się jakoś rozwiązać), zajęcie dla niepotrzebnych na

rynku pracy humanistów, zwrócenie uwagi mediów na problematykę czytelnictwa (telewizyjne dzienniki pełne relacji z rozmów o literaturze!).

Panie ministrze kultury, proszę rozważyć moją propozycję. Plan G-rob-lińskiego to może być prawdziwy przełom.